

STROICIEL LASU

Marek Stokowski

Akcja powieści toczy się na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Bohater „Samo-lotów” wybudzony z długotrwałej próżki, stara się odnaleźć odpowiedź dlaczego powróci na Ziemię. Opuszcza Warszawę i osiedla się w lasach na północy Polski. „Stroiciel lasu” to powieść, która w niezwykle poetycki sposób spleta wątki natury, muzyki i ludzkiej wrażliwości. Opowiada o człowieku, który potrafi wsłuchiwać się w las jak w instrument i stroić go, by przywrócić harmonię między naturą a człowiekiem. To historia o odkrywaniu ukrytych dźwięków przyrody i o tym, jak natura i człowiek mogą wzajemnie się inspirować.

FRAGMENTY POWIEŚCI

Naprawdę, drodzy państwo, uważacie, że psy nie myślą i nie potrafią wypowiedzieć ani słowa? A zaszczepicie kiedyś w oczy suce bernardyna, takiej z kilkorgiem małych ssaków koło brzucha? Albo zwykłemu powsinodze z wyschniętym rzepem na ogonie? Nie owczarkowi czy szpicowi, arystokratom psiego świata, lecz wrażliwej kreaturze z podkurczoną łapą, arcykundlowi bez obroży! I co? Nie dostrzegliście w jego łepiach ładunku duszy?

Tym, co tu gwiżdżę i obrzucaję mnie argumentami o brakach w mózgu albo w ogólnym wykształceniu czworonogów, odpowiem, że, faktycznie, psie wyrostki nie rozumieją jeszcze wielu rzeczy i nie są w stanie wypowiedzieć takich słów jak centryfuga, stratyfikacja lub transkrypcja. Są też psie gupki, co to nie wiem, gdzie jest Rosja. Wszelako nawet te gupki – gdyby chciały – mogłyby zmiażdżyć opowieść wam o niesłychanie ważnych sprawach, na przykład o sposobach uwodzenia atrakcyjnych samic czy też staraniach o schronienie w porze mrozów. Natomiast psy dojrzałe, już jako tako doświadczone w swoim fachu, umiałyby zawstydzić i poruszyć was niejedną pogadanką o miłości, radami w sprawie wychowania królowych dzieci bądź przejmując skargę na strzelanie z petard nocą i na perfidię starych kotów.

Czasem wydaje się, że wreszcie coś powiedzą, lecz koniec końców zaciskają zęby, bo mają do was dziwną sabość. Po prostu nie chcą wam odbierać satysfakcji z tego, że niby to jesteście wyjątkowi w skali galaktyki – z tym waszym nadzwyczajnym darem słowa, cudem mowy... Bardzo przepraszam, chyba pcha.

Excuse moi. Musiałem zagryść.

Ufam, że może chociaż siedemdziesiąt siedem osób uznało za prawdziwe moje wyjaśnienia i zrozumiało raz na zawsze, po co psu jęzor dłuży od ogona. Tych wrażliwych ludzi chciałbym teraz prosić, aby przyjrzyli z mego pyska tę opowieść, o jakiej napomknę na początku, o lądowaniu i tak dalej.

Przyjmijcie ją jak zestrzeloną nad bagnami dziką kaczkę, skarb przyniesiony wam pod nogi. A jeżeli okaże się, że się zgani, kości, odnalezioną nocą na miotniku, to postarajcie się, pomimo wszystko, dostrzec w niej skromny znak przyjaźni, jakiej ze świecą szukać między ludźmi.

To co?

To proszę bardzo – zaczynamy.

[...]

Woda jeszcze nie zamarza, zapewne dlatego, że płynna nader wartko. Potok meandrował w dół po zboczach, wśród choin i kurdupłowatych buków. Wpadał do leżącego stawu, pokrytego już warstwą lodu. Ten bagienny staw, leżący w zagłębieniu między wzniesieniami, otaczały maszty sosn, gęste świerki i jałowce, wciąż nagie modrzewie i graby. Tu i ówdzie porastały go wysepki traw z dzieciarnią brzozy i sosn. Brzozy, które ośmieliły się wyrastać z wysp na wodzie, młodo uschły. Suche były też wywroty – dwie potężne, obalone wiatrem jodły. Wyglądały jak pomosty dla wędkarzy amatorów – borsuka i lisa.

M zatrzymał się przy ujściu strugi do jeziora. Nie padał bez przerwy, absolutnie bezszelestnie, jakby wcale nie miał ciała. Słychać było szmery wody, szelest sójki. Nikt nie ciskał białym i nie warczał. Można było stać nad brzegiem, niczego nie szukać i na nic nie czekać. Ziemia, woda i powietrze brzmiały niemal idealnie. Mówił niemal, bo przeszkadzała jakaś szczegół, coś drobnego.

M zastygł bez ruchu, na czterdzieści siedem sekund, po czym podszedł do strumienia. Zdjął parę rękawic. Przykucnął. Przemieścił w potoku trzy spore kamienie. Woda miała uścisk lodu, a kruszyła kostki w dźwiękach. Nawet nie wiem, czy to zauważył. Chwilę sęczył. Było lepiej, z tym że nadal nie tak doskonale jak na wiezy, podczas tamtych siedmiu minut z sekundami.

Wytał donośnie o nogawki kanadyjskich spodni i w skupieniu nadal nasłuchiwał. Po siedmiu sekundach wydobył z plecaka scyzoryk od boksera R. Solaka i podszedł do drzewa, które rosło za strumieniem.

Siedział jak trusia.

Ze starego świerka odpadała chora kora. M oczyścił pogryziony przez robale obszar pnia i wykonał trzy nacięcia. Tak samo jak wtedy, kiedy w puszczy przy parkanie DPS-u robił karby na topoli, zupełnie nie wiedział, dlaczego cięć wciągał trzy razy i dlaczego w tych, nie w innych miejscach. A potem uczynił coś jeszcze – rozdzielił konary dwóch stojących ramien w ramienia kilkunastoletnich sosn. Nawet w tej bezwietrznej chwili drzewa ocierały się o siebie, odzierając skórę aż do kości. M odciągnął i ułożył ich gąszczem w taki sposób, aby nie stykały się ze sobą. Powrócił nad wodę.

Panowała wielka cisza.

To nie była cisza martwa, ale żywa.

To nie był brak dźwięków, ale ich zupełna zgoda.

To był pokój między żywiołami. Na zewnątrz i wewnątrz.

To była muzyka – dokładnie ta sama, co kiedyś, na górze.

[...]

Gospodyni położyła M niemiecką damkę. Pedałowała na rowerze wskąszosę wśród pól z łanami zboża. Działo się z tych zupełnie przezroczystych. Od zachodu wiał spokojny, lekki wiatr, pasący cumulusy. Pomiędzy chmurami krążyły bociany. Pod okiem rodziców najmłodsze świszczyły wznoszenia w kominach termicznych i łagodnie przyziemianie. M rozpoznał te manewry, bo miał doświadczenie, ostatecznie przez

dwadzieścia jeden lat zajmowa się lotnictwem, absolutnie zawodowo.

Jechał w słońcu, z gołymi nogami – jego kaszkiet, który mi posłużył jako banda, odmaknął w mydlinach. Bez czapki czułem lepiej całą przestrzeń wokół siebie. Za plecami miał szeroki wątek lesistych wzniesień pradoliny i strzeliste wieże dzwonnicy, dokoła ułanów, a na horyzoncie wał, za którym przepływała niewidoczna jeszcze rzeka. Z pszenicy, po prawej, wyskakiwała kozioł sarny, w powietrzu szalały skowronki, brzegi Czarnej Strugi i melioracyjnych rowów porastały trzciny i pokrzywy, na niewielkich terpach, jak na rozrzuconych w morzu wyspach, czerwieniły się samotne domy. Było lato, pełne wiatów i owadów, zapachów i ciszy. Nie było Puławskiej, Komarowa i Banacha. M poczuł nareszcie, że przez jego łk i ciękie myśli przebija się znówu przed wielkiej radości.

Potem gapił się z korony wału na szmat wiatu – lasy, pola, łągi, zakręty rzeki, znaki drogowe, niskie wzgórza z drugiej strony wody i cztery narożne wieżyczki krzyżackiego zamku sterczące z zieleni, do daleka, na południu.

Zjechał na dół, nad sam brzeg, zostawił rower i przycupnął na kamieniach wiłanej ostrogi, osłonięty liśćmi drobnej wierzby. Nie było nikogo, wywiał wódki, pozostały tylko ryby rzucające się w zakolach, pracowite ptaki-hydroplany i żuraw zastygły bez ruchu na piaszczystej, sezonowej wyspie. Żuraw obserwował przepływ wody. Obaj, on i mój przyjaciel, nasycali się potęgą rzeki.

Później było jeszcze bardziej nie do wiary, ponieważ na niebie pojawił się bielik, jeden z tych z naszego lasu. Zrobił kilka kół nad Wisłą i odleciał w stronę zamku, jakby miał tam coś do załatwienia.

Wszystko brzmiało, jak powinno, tak że nic nie trzeba było stroić.

Wiat wyraźnie zmierzał do tej chwili. Kto wie, może zmierzał i do innych, ale M zupełnie wystarczało to, co ofiarowywano mu dokładnie tu i teraz. Zatykało go z zachwytu i mamrotało jak półgłówek, powtarzało pod nosem to jedyne greckie słowo, jakie znał – ????????? – jedyne, jakie mogło unieść jego wdziaczność.

*

Powracał dokładnie tym szlakiem, jakim wcześniej jechał w stronę rzeki. Teraz za plecami miał wylany wał, za nim na horyzoncie wątek lesistych wzniesień pradoliny i wysoka wieża dzwonnicy. Był czerwiec, nie było Puławskiej i Hożej, krężyły bociany, w zbożu podskakiwała kozioł, a nad Czarną Strugą rosło zielsko.

M zobaczył ich z daleka i od razu wiedział, że go zatrzymają. Stali przed zaparkowanym na poboczu autokarem – kilku mężczyzn w skromnych, ciemnych garniturach. Stali w samym środku pól, przed skrzyżowaniem wyboistych, wąskich dróg na końcu wiatu. Jeden z nich, najwyższy, zaczął machać w stronę rowerzysty. M dojechał do krzyżówki i postawił stop na asfalcie.

Ten najwyższy spytał mego przyjaciela, czy rozumie po rosyjsku, spytał wcale nie w tym języku. M trochę się zdziwił, jako że autokar miał niemiecką rejestrację, a ludzie na drodze i ci, którzy nie wysiedli i przyjeżdżali umiechali się przez okna, nie za bardzo wyglądali na wycieczkę komsomolców. Wyjął, że łatwiej byłoby mu mówić po angielsku.

Sublokator pani Kosakowej pamiętał do dwóch angielskich konstrukcji, jeszcze z kursu w klubie osiedlowym na Okciu, sprzed wojny, no a jednocześnie zapominał większość tekstów przeczytanych ledwie przed godziną. Niepojęte są kaprysy pamięci osoby, która uderzyła się o beton i spała do drugo bez wstawiania za potrzeb.

Człowiek górujący wzrostem nad pozostałymi skwapliwie wyjaśnił, czemu on i jego towarzysze pozwolili sobie niepokoić pana na rowerze: Chcieliby się porozumieć z kimś miejscowym. Przyjechali z Fryzji i szukają ładów, miejsc pamięci po swych przodkach. Tak najbardziej to zależy im na odwiedzeniu kaplic i cmentarzy, w drugim rzędzie starych domostw i gospodarstw. Są mennonitami.

Mój kumpel o ma?o nie usiad? na ziemi. Zupe?nie go ?ci??o. Z wra?enia. Ten wysoki mówi? dalej: Zgubili si? w drodze, mo?e nawet nie zgubili, tylko nie potrafi? znale??, zidentyfikowa? poszczególnych miejscowo?ci. Dysponuj? szkicem terenowym – pokaza? kawa?ek papieru z oszcz?dnym rysunkiem i nazwami geograficznymi w j?zyku niemieckim. Wczoraj, w mie?cie mi?dzy jeziorami, próbowali kupi? polsk? map? tych terenów. Nie dostali. Sprzedawca t?umaczy?, ?e sko?czy?y si? zapasy, ?e sprowadzi nowy towar w poniedzia?ek, jednak co to za pociecha dla tych, którzy podró?uj? dzisiaj? Wi?c czy on, to znaczy rowerzysta, nie potrafi?by im wyt?umaczy?, wskaza?, gdzie znajduj? si? te wioski zaznaczone na ich szkicu, albo mo?e wie, jak trafi? na cmentarze, albo orientuje si?, czy zachowa?a si? kaplica w... no w?a?nie, oni znaj? tylko przedwojenn? nazw? owej miejscowo?ci – *Rendhof*.

Dooko?a falowa?o zbo?e, gryz?y b?ki, nad g?owami przep?ywa?y cumulusy. M widzia? tych ludzi i s?ysza? ich g?osy, ale nadal mia? wra?enie, ?e s? to wy??cznie omamy i zwidy wywo?ane mocnym s?o?cem. I pewnie dlatego nie powiedzia? im, ?e tyle razy szuka? ich na ziemi i nad ziemi?. I nie zdradzi? im, jak bardzo pragn?? pozna? tajemnic? ich milcz?cej obecno?ci i nieobecno?ci. Za to ofiarowa? si?, ?e wska?e drog? na cmentarz w Dynowie.

Okaza?o si?, ?e by?o to jedyne wa?ne miejsce, jakie odnale?li ju? i odwiedzili.

M chwil? pomy?la?. Je?eli nie Dynów, to mo?e Karwina, niech po prostu jad? za nim. Zasugerowali, ?eby zapakowa? rower do ich autokaru. W?a?nie zbiera? si?, by to uczyni?, kiedy przysz?o mu do g?owy, ?e by?oby lepiej, gdyby nieznajomi pozostali sami ze swoim wzruszeniem. Jako? nie chcia? wtrzyia? si? w intymno?? cudzych spotka? z umar?ymi. Przeprosi? i nie wsiad?, i zaproponowa? co? innego.

Z wielkiego przej?cia troch? trz?s?y mu si? r?ce, gdy z plecaka umocowanego przy rowerze wyj?? ukochan? map? nadle?nictwa, roz?o?y? na jezdni i zacz?? wyja?nia?, gdzie znajd?, co trzeba, nie tylko Karwin?. Ukucn?li i ukl?kli obok niego. Do??czali do nich inni, z autokaru, wszyscy najwyra?niej poruszeni faktem, i? w przestrzeni pól i nieba zjawi? im si? kto? z zadziwiaj?c? orientacj? w tym, co by?o dla nich wa?ne, i ?e zjawi? si? dok?adnie w chwili, kiedy go potrzebowali.

Potem M po prostu da? podró?nym swoj? map?, oni za? przyj?li ten sfatygowany, pognieciony papier, jakby otrzymali wszystkie skarby ?wiata.

Paru m??czyzn w szarych garniturach g?o?no rozwa?a?o rady i wskazówki przekazane przez mojego przyjaciela, i porównywa?o nazwy z mapy z tymi ze starego, niemieckiego szkicu. M nie uczestniczy? d?u?ej w tej naradzie. Podniós? rower i szykowa? si? do po?egnania. Wtedy ów najwy?szy z ca?ej grupy zbli?y? si? do niego i rzek? cicho, tward? angielszczyzn?:

– Musz? panu co? powiedzie?. Pó? godziny temu, na cmentarzu pod Dynowem prowadzi?em nabo?e?stwo. Prosili?my Boga, ?eby przys?a? do nas kogo?... kogo?, kto by pomóg? nam odnale?? drog?.

Tak to przet?umaczy? mój przyjaciel, potem tak mi to przekaza?.

Gryz?y b?ki, dooko?a falowa?o zbo?e, nad g?owami przep?ywa?y cumulusy.

Po?egnali si? przed drzwiami autokaru. Kto? z podró?nych ofiarowa? M niewielk? puszk? z orzechami. Sublokator pani Kosakowej nie wzbrania? si? przed tym, bowiem zd??y? si? przekona?, ?e czasami nie wiadomo, jak okaza? swoj? wdzi?czno?? i wychodzi to niezr?cznie. Pó?niej macha? za odje?d?aj?cymi, a oni machali mu z okien, a? znikn?li w p?askim krajobrazie.

Czu? si? troch? jak pijany. Nie za bardzo wiedzia?, jakim cudem wróci? z pól do domu na zydlungach, jak odstawi? rower, jak zjad? rosó?, jak dotar? na gór? i leg? na tapczanie. Jad?c, jedz?c, wchodz?c, le??c, nadal s?ysza? ludzi napotkanych na ?u?awie, s?ysza? ich spokojne zapewnienia, ?e otocz? go modlitw?. M te? im obieca? sw? pami??.

Opowiada? mi to ze ?ci?ni?tym gard?em. Trudno dziwi? si? emocjom kogo?, kto zyska? ?wiadomo??. ?e przez 11 minut i 49 sekund by? pos?any, w ma?ej sprawie, ale jednak. Na dodatek ogarn??o go g??bokie przekonanie, ?e ci, którym pomóg?, te? byli pos?ani do niego. Czy nie pojawili si? z odpowiedziami na pytania, jakie nieustannie ciska? w niebo?

stroiciel

Fragmenty pochodz? z ksi??ki: M. Stokowski, *Stroiciel lasu*, OFICYNA WYDAWNICZA MULTICO, 2010.